NUMER 1. DNIA 1. STYCZNIA 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

DZIEŃ DZISIEJSZY.

„Niebo zasnute mgłą,
Lecz słońce świeci ponad mgłami,
Dusza przeboli chwilę złą,
Złotemi zabłyśnie znów skrzydłami“
(Sirko).

Niebo zasnute mgłą. Kłębami wzbija się mgła ponad lśniące wilgocią dachy, ponad bezlistne drzewa z pozorem trupów w przestrzeni zastygłych, męką życia napiętnowanych; smugami owija ziemię, zmiękcza kontury domów, zaokrągla rogi ulic. W tej mgle ludzkie postacie zdają się być tylko jej skupieniem chwilowem, które zwolna roztopią się w niej i znikną.

I dusze ludzkie toną we mgle. Za mgłą jest jutro. Jutro słoneczne czy noc odwieczna?

Tam, na najdalszym krańcu Czarnego Kolosa walczy z nim Wschodzące Słońce. Wśród salw armatnich rozbrzmiewa huk inny — od lodów Białego morza do gór Kaukazu rozbrzmiewa; jakieś potężne drgania wstrząsają cielskiem, rozłożonego na dwóch częściach świata potwora. Ospałą mgłę przeszywają jutrzenkowe błyski, świtowe okrzyki: „Do życia! Mury ciemnicy chwiać się zaczynają, by wzmogły się tortury nadziei obezwładnionych narodów.

Odwieczni więźniowie, z krwią caratowym jadem zatrutą, rozchylają obrzmiałe sennością powieki, patrzą wybladłą źrenicą, podnoszą ociężałe głowy. Oto przebiega ich dreszcz życia. Cudowny dreszcz.

„Wolności chcemy! — wzbija się głos w ciemnicy i piorunowem, wielojęzycznem echem rozlega się wtór: „Wolności chcemy!“

Okrzyk tak potężny, że wypełnia przestrzeń brzegi, by stopiły się w nim wszystkie głosy pożądań rozbieżnych, by wyłonił się z niego wspólny Czyn!

Uderzył okrzyk w serce i rozbił w proch nienawiści wzajemne więźniów; uderzył w Mądrość ich, by zrozumi[illegible] gdzie wróg, uderzył okrzyk w ich Wolę, by st[illegible] się Mocą władnącą.

O Wschodzące Słońce, które rzuciłoś swoją iskrę życiodajną na prochy, bądź jaśniejące! Strumieniem zdrowej krwi ożywiłoś duchy w letargu. Oto wstrząsnęliśmy kajdanami, oto obliczyliśmy ich ciężar i nasz wstyd — wstyd żywego niewolnika, zmyty śmiercią tylko lub łańcuchów strzaskaniem. Nas już nie bolał ten wstyd!

Tak wołają ci, u których płomień życia tlił zawsze. Są jak te róże jerychońskie, kroplami rosy z martwoty pozornej wyrwane.

Ale dla tych, którym ciemnica wzrok odjęła i ducha zabiła, że jak automaty na świat patrzą szklanemi oczyma, dla tych upiorów niewoli nie przyszedł czas odrodzenia.

Bezwładne ich dłonie, pustynne ich mózgi i skrzepłe serca. To kształty ludzkie, nie ludzie. W mroku im tkwić bez jutra, w oponie osłupiałych Lęków.

Wśród mgły snuje się straż ciemnicy.

Milczy i czeka.

Wypuściła na miasto najnikczemniejszą sforę najnikczemniejszych.

Przy bramach domów, do ich ścian przylepione czają się bezkrwiste postacie, wrzody ludzkie.

Hej! sforo szpiegów, sępów wzrokiem szukaj żeru dla swych panów, słuchem jelenia łów: co mówią w ciemnicy! Czyj głos wzbudza posłuch i wiarę? Kto z więźniów najsilniejszy?

Hej! sforo badaj tłumy i pouczaj swych władców, popieraj ich do ostatniego tchu, bo kiedy przyjdzie słoneczna moc, nad tobą tylko nie zlituje się — nikt.

Ścierają się dwa światy we mgle.

Antonina Marzyńska.

Warszawa, w grudniu.

NIEZAPOMNIANE ECHA.

Sokolstwo polskie zestawiło dla siebie i dla narodu „Pamiętnik IV. zlotu“, odbytego we Lwowie w dniach 27. do 29. czerwca 1903. Niezapomniane echo chwil podniosłych stanowi owa duża księga pełna portretów, opisów, zdjęć fotograficznych, imiennych spisów uczestników i gniazd sokolich, które wzięły udział w tem święcie zbratania dwu dzielnic prastarej Polski i pobratymczych narodów słowiańskich. Jeszcze zanadto żywo, zanadto gorąco tkwią w pamięci wszystkich owe górne i lotne chwile, więc i echo uderzające z „Pamiętnika zlotowego“ trafia wprost w serce i duszę każdego, kto świadkiem był onych dni, a jeszcze bardziej kto czynnym był ich uczestnikiem, kto witał dalekich, a tak bliskich sercu braci z Wielkopolski, dumnego i wielkiego narodu czeskiego zastępy, południowych Słowian sokole drużyny, kto przeżył onych trzech dni i dumę i radość i siłę, tę moc ducha mistyczną, którą karne i fizycznie silne zastępy sokole wlały w serce całego narodu.

„Pamiętnik IV. zlotu“ okazał się dopiero w półtora roku po uroczystościach, ale zdaje się opowiadać rzeczy tak bliskie, tak niedawno, dopiero co przeżyte, że jest niby sprawozdaniem dziennika na drugi dzień po fakcie i pod jego świeżem wrażeniem spisanem.

A z pośród mnóstwa szczegółów opisowych i statystycznych, dwie rzeczy szczególniejszą na siebie zwracają uwagę, jedna jako miły dar i pamiątka Sokolstwu polskiemu przez bratnie czeskie zastępy złożona, druga znowu jako pomnik, który Sokolstwo polskie stawia narodowi polskiemu, czcząc z nim razem ogólno narodowych bohaterów i czyniąc patronem swoich czynów i ideałów — Tadeusza Kościuszkę.

Jak wiadomo, uchwałą Związku Sokolstwa polskiego z przed lat kilku oddały się polskie zastępy sokole w opiekę i patronat Naczelnikowi w sukmanie, pragnąc, aby Jego ideały wiecznie przyświecały Sokolstwu. Wyrazem tej myśli są coroczne uroczyste obchody sokole w pamięć Tadeusza Kościuszki urządzane, wyrazem też pięknym i trwałym tej myśli stanie się pomnik Bohatera z pod Racławic, który Sokolstwo polskie ma zamiar postawić na boisku sokolem.



SOKOLSTWO POLSKIE NACZELNIKOWI
Projekt pomnika Kościuszki A. Popiela.

Pierwotnie miał stanąć pomnik według projektu p. Antoniego Popiela, którego podobiznę obok podajemy. W ostatnich jednak czasach powstały nowe projekty pomnika, z pośród których jeden zostanie wybrany i ozdobi wspaniałe boisko Sokoła lwowskiego.

Dla samego znowu Sokolstwa polskiego, dar czeskich Sokołów, którego podobiznę podajemy, stanowić będzie wieczną pamiątkę. Je[st] to olbrzymiej wielko[ści] plakieta, wykonana w[e]dług projektu prof. N[o]waka, a przedstawiaj[ąca] apoteozę Sokolstw[a]. Plakieta jest osadzona w tarczy metalowej, na [niej] zaś czeski napis: „Sokolstvo české — Sokolstwu polskému 1903.“

Jaw.



DAR SOKOLSTWA CZESKIEGO — SOKOLSTWU POLSKIEMU.

Nieznany portret Goslara.

W Archiwum miejskiem we Lwowie znajduje się teka po znanym malarzu i autorze „Sądeczyzny“ śp. Szczęsnym Morawskim, a w niej między innymi rysunkami szereg kredkowych portretów, przedstawiających wybitniejszych działaczy społecznych i narodowych w dobie spisków i konspiracji. Dzięki uprzejmości archiwarjusza m., dra Czołowskiego podajemy z tego zbioru reprodukcję zupełnie dotąd nieznanego i niestety jedynego, który się do naszych czasów przechował portretu Juljana Goslara,

Poeta, spiskowiec, rewolucjonista o szerokim ludowym podkładzie, oficer legji polskiej w czasie bombardowania Wiednia w r. 1848., dwukrotny więzień stanu, stracony we Wiedniu d. 2. lutego 1852. jest Juljan Goslar, jedną z najbardziej świetlanych, ale też i jedną z najmniej znanych postaci ruchów wolnościowych, które przed i po r. 1848. wstrząsały naszym narodem. Życie oddał za wolność, a idea ta trawiła go przez wszystkie jego czyny, wypełniła całą jego istotę. Dla niej swą młodość sterał, niosąc w lud hasła, dawno z chat wiejskich przez rządy zaborcze wygnane, hasła miłości i wspólnej pracy dla odrodzenia ojczyzny. Pjonier idei, doznał całej goryczy apostolstwa. W czasie rzezi w r. 1846., zbity i sponiewierany w Haczowie, cudem tylko uszedł śmierci. Bo i nie mogła taka jasna, miłująca dusza pójść z rozpaczą w zaświaty, bodaj choć promyk szczęścia musiał ją uśmiechem nadziei napoić. I tak się stało. Niebawem ten sam lud w Haczowie witał go jako swojego zbawcę, cisnął się do jego osoby, jak do cudu jakiego i zmartwychwstania.

W pracy agitacyjnej nad ludem wiejskim nieustawał, mimo iż za nią jak zwierz dziki był prześladowany i ścigany. Jak meteor pojawiał się i znikał, nieledwie na paru miejscach odrazu, a niestrudzony w walce z tyraństwem i niewolą, zaraz po wyjściu z więzienia snuł dalej swą nić rewolucyjną, bez przerwy. I w tych kolejach życia emisarjusza zatraciła się zupełnie nawet osobowość Juljana Goslara, nawet szczegóły bjograficzne polegają na niepewnych i niesprawdzonych datach — szedł przez życie jak chmura tajemnicza, nierozwiązana zagadka, świecąc tylko blaskiem idei, która jego duszę rozpierała.

Kilka pożółkłych papierów, garść wspomnień niejasnych, oto wszystko, jak powiada jeden z historyków Galicji, co nam pozostało po Juljanie Goslarze. Rysy jego, przekazał potomności śp. Szczęsny Morawski, ale o ile wiernie, o ile autentycznie, któż to dziś stwierdzić potrafi?

W chwili, gdy wyrokiem sądu wojskowego we Wiedniu Juljan Goslar został na śmierć skazany, liczył podobno dopiero 32 rok życia. Portret przekazany przez S. Morawskiego, przedstawia jednak raczej jakiegoś człowieka w podeszłym wieku. Być może, że to dwukrotne więzienie, trudy żywota, tak przedwcześnie postarzyły twarz ową. Zresztą zachowały się dwa tylko fragmentaryczne i niewystarczające opisy jego osoby, a przekazała je śp. Justyna Kudelska w „Tygodniu“ r. 1898. str. 411. i w „Kurjerze lwowskim“ z 5. sierpnia 1904.

Według pierwszego opisu, Goslar w 16 roku życia swojego „wysoki był, szczupły, z piersią źle rozwiniętą, z głową o włosach lniano płowych, nieco w dół pochyloną, twarzy drobnej i bladej". Drugi opis Justyny Kudelskiej przedstawia Goslara po r. 1846, jako człowieka „z ciemną obwódką podkrążonemi oczami, twarz młoda, zmizerniała od trudów i niewygód, ubiór wyszarzały... etc."

O ile te opisy zgadzają się z rysunkami śp. Szczęsnego Morawskiego, pozostawiamy ocenie czytelników.



JULJAN GOŚLAR,
(według rysunku ś. p. Szczęsnego Morawskiego, znajdującego się w zbiorach Archiwum m. we Lwowie).

FELIKS GWIŻDŻ.

Wykpiś.

Niewiada, skąd przyszedł, kiedy i poco. Zjawił się we wsi niepostrzeżenie i jako biedny komornik zamieszkał u jednego z poślednich gazdów pod Grapą, pod samą harną Żeleźnicą. Minął jeden i drugi rok, o Styrczuli było prawie całkiem cicho. Co prawda, to podgrapiańscy ludziska przegadywali od czasu do czasu o rudej, dwiema linkami spadającej bródce Styrczuli, o jego zaszarganych wąsiętach, albo też i o jego dziwnych kyrpcach, które raczej do kozich racic były podobne — o samym jednak Jędrusiu Styrczuli było bardzo głucho. Dopiero ksiądz proboszcz zwrócił na niego uwagę swej parafji, wedle tego niby, że Jędruś do kościoła, rozumie się, że i do spowiedzi nie chadzał. Że do kościoła nie zazierał, to nie zdziwiło tak bardzo pobożnych Odrowążanów, bo w pełną zimę lub

w słotne dni rzadko kto z pod Grapy przychodzi na mszę świętą, ale, że u spowiedzi nie był... Ho! Rzadko który z podgrapiańskich międołów pozwalał se na to. A jeszcze jakisi przybłęda, który powinien się księdzu przypodobać, żeby jaką taką łaskę uzyskać... Z początku nawet nie wiedzieli wszyscy parafjanie, o kim właściwie mowa — tak go haniebnie nie znali.

— Cóż to zaś za przybłęda? Co to za jeden?

— Dyć to ten z czerwoną, podwójną bródką, co na komorze jest pod Grapą — objaśniali świadomsi rzeczy.

— Uhm-hm... A cóż on sie nie pokazuje we wsi?

— Po nocy sie włóczy. Powiadają, że pod okna podchodzi i do każdej izby zaziera.

— Wereda.

— Haj.

Tak gadała wieś. Ale pod Grapą, pod samą zalesioną Żeleźnicą, wśród najbiedniejszych mizeraków nie było tak do znaku głucho o Styrczuli. Przedewszystkiem Icek, młody a wytworny arendarz, król pod Grapą, niebywały mówca szepleniący i cynik zbereżny znał Styrczulę od dawna. Wszak to on doradzał Styrczuli, by się przeniósł do innej wsi.

— Tu nie dla ciebie interes, tu ja...

— I ja, a potem ja sam — dodał Styrczula.

Ickowi zrobiło się źle. Nie znosił Jędrka z linkowatą bródką. Raz dał mu nawet caluśką piątkę, żeby poszedł w świat — Styrczula piątkę przyjął, nakupił za nią pijawy i jadła i zrobił bal dla podgrapiańskie biedoty. Ale, że to było w czasie okrutnych śnieżyc i naremnych zawiei, więc hyr nie rozszedł się po świecie o tym pięknym wypadku. Któżby hań! szedł w taki czas na dół, do wsi...

Icka już djabli brali ze złości. Styrczula pękał ze śmiechu. Wreszcie Icek przyszedł do niego.

— Czego ty chcesz odemnie?

— A wy? Bo ja niczego — odrzekł zgryźliwie uśmiechnięty Jędruś.

— Skoro się ino zjawisz w karczmie, ja gęby otworzyć nie mogę. Twój śmiech jest z piekła, ty... Odbierasz mi majątek, bo mi już za różne dorady, które na głos wyśmiewasz, już mi za nie ludzie nie chcą płacić.

— Dobrze robią. Wyście chytrzy, a ja ich dopiero uczę chytrości moim paskudnym śmiechem.

— Tak?...

— Zdaje mi sie.

Żyd odszedł zadumany. Odtąd biedacy poczęli zwracać na Jędrka baczniejszą, bardzo przychylną uwagę. Poczęto o nim gadać coraz głośniej, jako o dziwnie mądrym, a dokuczliwym człeku — aż też doszedł gwar o nim i do księdza proboszcza. Było to akurat przed świętami Bożego Narodzenia, a w trzeci rok pobytu Jędrusia pod Grapą. Powiadają, że Icek doniósł księdzu o nim. Ale Jędruś Styrczula nic se z tego nie robił. Owszem, coraz częściej śmigał ścieżkami pomiędzy niskie chałupy, wpadał to tu, to tam, a pod sam wieczór przychodził do żyda i długie godziny, zgryźliwie uśmiechnięty, milcząc za stołem przesiadywał. Czasami lem świt był już na drugim końcu osady i gwizdał pod czyjemiś oknami, że gazdowie musieli wstawać i wychodzić na pole, by się przekonać, co to... Wtedy znikał. Za chwilę znowu wpadał do czyjejś chaty, ka sie już świeciło i począł opowiadać swoje sny z ubiegłej nocy... Ale te sny były straszne, nielitościwie chłoszczące spokojnych gazdów podgrapiańskich, wyśmiewające wszystko i wszystkich — to nie były sny, ino ta szczera prawda, bezwstydna a piekąca, którą w twarz gadał każdemu okrywającemu się chustą obłudy. To ino on, Jędruś Styrczula snami nazywał te prawdy. Poczęto już drzwi przed nim zapierać, lękać się go, aż mu i przezwisko wynaleźli, przezwisko, którego sam się zląkł.

Wykpisiem go nazwali, przeklętym Wykpisiem. I nawet ci, którzy poczęli go zachwalać i żyć z nim bliżej, odwrócili się teraz od niego. Nie śmieli mu w oczy powiedzieć, by podgrapiańską część Odrowąża opuścił, ale przez żyda często dawali mu to do poznania. Przyszła Wilja, o czem Wykpiś nie wiedział, bo przez pewien czas nie gadał prawie nic z ludźmi — aż tu znów staje przed nim Icek.

— Wykpiś wynoś się z pod Grapy. Ludzie chcą tego.

— A pocóż wy mi o tem gadacie, nie ludzie? Możem... wam na przeszkodzie?

— Może być.

— Ja wam powiem: i mnie pod Grapą dobrze i wam dobrze. Jesteście porządny człek, ino trochę ludzi ogłupiacie, ale i was wnet tego oduczę. Nagadaliście pono przed księdzem na mnie, ale to nic nie szkodzi; skoro przyjdzie czas, skoro tu zrobię porządek, zejdę i tam, do wsi...

— A co ty za jeden?

— Wykpiś — samiście mię tak nazwali.

— Wykpiś...

Ickowi zrobiło się „nieprzyjemnie" i nie rzekłszy słowa więcej, odszedł od Styrczuli. A Jędruś

Styrczula pognał na drugi koniec Grapy. Pozazierał prawie do wszystkich okien — choć nie świecono jeszcze — tu i tam zaśmiał się okrutnym śmiechem, że dzieci z przerażenia krzyczały. Dłużej zatrzymał się pod okienkiem Haźbiety, słomianej wdowy*). Lampka świeciła się na stole — obok Haźbiety siedziało dwóch jurnych parobków. Wykpiś (i ja cię, Jędrusiu, tak przezwałem z przyzwyczajenia) uderzył pięścią w okno, zaśmiał się dziko i znikł. Usłyszał z oddali jakieś lamenty i wołania smętne, ale już go nic nie obchodziły. Z za potoka, z zaśnieżonego pagórka spojrzał po chwili ku Haźbiecinej izbie. Dojrzał, jak dwóch parobków opuszczało jej dom i wśród dziwacznych zasłon spadającego śniegu schodziło w dół, ku wsi...

Wykpiś poszedł dalej. Po drodze zebrała go chęć spojrzeć jeszcze do okna Wincka Miernoty. Przystanął. Spojrzał na niebo: było zawlekłe wyszarzałemi, olbrzymiemi chmurami. Zdawało się, jakby komornice chusty nad światem porozwieszały. A od Żeleźnickich lasów szedł głuchy warkot i szum, wlekły się ugorami białe widma śnieżne... Wykpiś zerwał się nagle, podszedł na pogródkę i opaternie zajrzał do środka izby Miernoty. Zdębiał. Koło stołu siedziało z sześciu ludzi i właśnie w tej chwili łamało się opłatkiem. Coś zagruchotało w nim. W oczach poczęły mu tańczyć gwiazdy, tęcze, łyskawice...

Uciekać! Uciekać!...

Kany?!

Uciekać! Uciekać!

Wartkim pędem pognał pod samą Żeleźnicę, zaczął się burzyć do zapartych wrót swego gazdy, u którego był na komorze.

— Puśćcie!

Z izby nikt się nie obezwał.

— Puśćcie!

Cicho. Ktoś podchodzi do okna.

— Kto tam?

— Ja... Jędrek... Nie poznajecie?

— Wynoś sie stąd. Miałem ja dziś dość za ciebie. Cała wieś sie zeszła ze skargami.

— Ale ino dziś... na Wilję... puśćcie mnie ku sobie... Ino dziś... choćby dla zwyczaju. Przecie we Wilję najnędzniejszych dopuszcza się do swego stołu! Puśćcie...

— Precz! Ksiądz cię z kazalnicy pozywa, gazdom na złość robisz, żydowi spokoju nie dajesz. Dzieci moje zdziczały przy tobie do znaku, ty roznosicielu bajek, podglądaczu, wisielcu krotny...

Od żeleźnickiego lasu powiał silny wiatr, miecący przed sobą tumany rozczochranego śniegu. Wykpisia ogarnęło uczucie ogromnego znużenia, potem żalu, potem straszliwe uczucie bezsilnej rozpaczy. I wlazł do jego serca jakiś zakamieniały zgryz...

Puścił się machinalnie w pola. Szedł nieznaną sobie miedzą, nie wiedząc, dokąd idzie. Nagle przystanął — do uszu jego doleciały srebrne nuty kolendowe.. A potem cichy, przeciągły płacz... Nie, nie płacz — to, zdaje się, ktoś gra na gęślach.., Tak... tak...

Ktoś przygrywa na gęślach, a dziewczęta śpiewają kolendy, ino ty, Wykpiś, ino ty marny, znienawidzony samotniku, którego wszędy było pełno... ty przeklęty międoło, wszędywściubski, ino ty mizerny, brodaty człeczyno sam jesteś wśród pustych pól...

Ino ty, ty przybłędo jakiś...

A ona rzewna nuta o Panu Jezusie na świat przychodzącym, płynie i płynie i śmieje się radośnie i płacze serdecznie...

— Wykpiś...

Zawrzało w nim. Ale oto znów opadają podrażnione, jak żmije, uczucia — stają się sennemi. tak... sennemi, cichemi...

— Wykpiś...

Jaka hań! dziwna idzie nuta ugorami, jaka hań! dziwna płacze pieśń. Zasłuchałby się człek w tem sennem graniu i śpiewaniu słodkiem na wieki, na śmierć...

Wykpiś poszedł pod jakieś drzewo, oparł się o pień i poddał się całkiem przechodzącym bezładnie przez jego świadomość myślom i uczuciom. Nie zdawał sobie z niczego jasnej sprawy. Czuł ino jakieś zawroty w głowie, łzy w oczach i słyszał huczący krzyk swego serca i nutę czyichś gęśli i one miękkie, srebrne głosy śpiewających dziewcząt. A w tym wszystkim bezładzie jedno mu się zdanie przypominało, jedno dziwne, z bajek zasłyszane zdanie o tem, że nikt tak pięknej i radośnej muzyki nie słyszał i nie usłyszy, jak wisielec... wisielec krotny... Gdy dusza ciało nieszczęsne opuszcza, pono całe piekło gra, caluśkie piekło śpiewa...

— Tak... a potem męki nigdy nieskończone — przeszło przez myśl Jędrka.

— Ale raj przez chwilę, muzyka, jakiej nikt nie słyszał... nikt... I to dziś, we Wilję, ty właśnie, ty mizerny człeczyno najpiękniejszą mieć będziesz rozkosz...

---

*) Mąż jej zeszłego roku wyjechał za zarobkiem do Hameryki.

— Zły do mnie mówi, czy co?

Wykpisiowi włosy powstały na głowie. Głuche przerażenie przewaliło chmurą przez jego pierś.

— Wykpiś...

— Kto tu?! Krzyknął na głos.

Uciekać! Uciekać!...

Począł pędzić co sił ku wsi. Zdala widniała odrowąska wieża kościelna. Tam pędził. Zdyszany przystanął przed kościołem. Cicho było i świątecznie dokoła. Człeka żadnego. Pomału, pomaluśku... podszedł ku schodkom wiedącym do dzwonów...

— Tędy — szepnęło coś.

Wykpiś oglądał się. Pusto było dokoła. Pomału, pomaluśku doszedł do drzwi. Nie były zaryglowane. Po drabinie wyspinał się ku dzwonom... Od sygnaturki oderwał śpiesznie linkę i przywiązał ją do serca wielkiego dzwonu.

— Wykpiś...

Żachnęło go coś pod serce.

— Boisz sie ludzi...

Wykpisiowi zrobiło się przykro. Rozważał.

— Nie... nie boję sie. Ino i ja chcę mieć Wilję... A będę miał lepszą, będą mi grać, jak nikomu dotąd nie grali... Dyć ja jeszcze nigdy wielkiej muzyki nie słyszał...

Zgrabnie wyczołgał się po słupie ku przywiązanej lince — oderwał i przywiązał ją wyżej, do wewnętrznego ucha dzwonu, gdzie było i serce spiżowe uwieszone.

— Teraz już nie to spiżowe, ino to moje, krwawe serce będzie dzwonić na święta — pomyślał Wykpiś.

W tej chwili doleciały ode wsi słodkie łkania gęśli i wesołe nuty kolendowe.

Wykpiś zarzucił prędko powróz na szyję, obwiązał mocno i puścił się od słupa...

Dzwon zajęczał głucho. We wsi przerwano nagle śpiewki i grania — od Żeleźnicy szedł ugorami straszny ryk borów — za nim zawierucha dzika i ona wieczna, wieczysta siostra nasza Dola nieodstępna...



Z KSIĘGI EROTYKÓW.

Szarą godziną...

I.

O zleć!
Godziną szarą, jesienną,
Tajemną —
Otocz się tęczą rozblasków promienną —
Rozrzuć na czoło mistyczne, blade
Swoją przewonną, złocisto-ciemną
Włosów kaskadę — — —

O zleć!
Godziną szarą, tą smętną,
Niepewną,
Gdy każdej trawki słychać senne tętno
I gdy lśnią gwiazdy na niebie blade —
Załkaj mi w duszy cichą a rzewną
Szecherezadę — — —

O zleć!
Godziną szarą, omdlałą,
Jesienną — —
Zleć w moją samotnię opustoszałą —
Napełń ją baśnią o wiośnie złotą,
Serce me otul ciepłą a senną
Skrzydeł pieszczotą — — —

II.

Modlę się do cię, bo prześwięcie wierzę,
Że kiedyś ciepłą, rozsmętnioną nocą,
Gdy ciche gwiazdy w górze się rozzłocą,
Kwiaty po łąkach rozwonieją świeże,
Gdy się koniki polne rozrzękocą,

I gdy do ciebie prawiąc hymn pokłonny,
Modlić się będzie me serce spłakane, —
Zstąpisz jak obłok z kadzielnicy wonny,
W boticellowskiej zadumie Madonny
W duszę mą, cicha, — i skoisz mi ranę — — —

Lwów.

STANISŁAW BURZYŃSKI.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

KSIĄŻKI. *Dzieje W. Ks. Poznańskiego* w zarysie (1815—1900) przez dr. Kazimierza Rakowskiego. Kraków, 1904. Praca obszerna, wyczerpująca, oparta wyłącznie tylko na drukowanych już opracowaniach i materjale, który autor odszukał w rocznikach gazet poznańskich, jest przedewszystkiem aktualną. Podaje bowiem, o co nikt dotychczas się nie pokusił, całokształt dziejów W. Ks. Poznańskiego, od kongresu wiedeńskiego aż do dni naszych. Jako zarys dziejowy posiada książka dra Rakowskiego wszystkie wady podręczników, ale też wszystkie ich niezaprzeczone zalety. Jest przejrzystą, ułatwia pogląd i orjentowanie się w porozbiorowych dziejach tej dzielnicy Polski, a zarazem snuje nieprzerwaną nić usiłowań germanizacyjnych rządu pruskiego i odporności polskiego społeczeństwa. Pod tym ostatnim więc względem zarys dziejów W. Ks. Poznańskiego jest rodzajem bilansu naszego narodowego w zaborze pruskim. Pod względem wreszcie zewnętrznym, napisana barwnie, z prawdziwym nerwem dziennikarskim, jest książka dra Rakowskiego, bardzo cennym podręcznikiem do codziennego użytku i jako taka odda społeczeństwu zapewne niejedną przysługę. Autor, wypuszczony przed paru tygodniami z więzienia pruskiego, „opracował „Dzieje W. Ks. Poznańskiego“ jeszcze przed swojem uwięzieniem, z wyjątkiem rozdziału ostatniego, którego ostatecznej redakcji, według manuskryptu autora, dokonał p. Włodzimierz Jarosz.

Fr. J.

Było to pod Somosierra, opowieść dziejowa przez Wacława Gąsiorowskiego (z 32 reprodukcjami obrazów i portretów). Warszawa 1905. W Królestwie, gdzie kult Napoleona dochował się jeszcze w szczątkowych swoich objawach, „napoleońskie“ powieści p. Gąsiorowskiego, bywają rozchwytywane, u nas czyta się je z zajęciem, jako płody ogromnego talentu opisowego i narracyjnego, jak niemniej pewnej efektowności w kreśleniu scen i obrazów. „Było to pod Somosierra“ niema prawie żadnego podkładu powieściowego, a jednak dziwić się trzeba z jaką barwnością snuje autor swoją „opowieść dziejową“ i jakie potrafi wywoływać efekty ze szczegółów czerpanych w każdym razie chyba tylko z podręczników historji hiszpańskiej. Pierwsza bowiem część książki p. Gąsiorowskiego opisuje wewnętrzne stosunki Hiszpanji, przed wkroczeniem Napoleona, a dopiero druga maluje epopeje szwoleżerów polskich pod Somosierra. W tej ostatniej części znajdujemy epizod drukowany już przez autora poprzednio w „Rapsodach napoleońskich“.

J.

A. Kallas: Nędza, dramat w 3 aktach. Kraków, nakładem księgarni D. E. Friedleina, Warszawa — E. Wende i Ska.

O treści dramatu mówi już sam tytuł... Przedstawia rodzinę opanowaną ostateczną nędzą materjalną i moralną, bo materjalna z żelazną konsekwencją zwykle drugą sprowadza. Ta nędza moralna jest najsilniej zaakcentowana w dramacie. Ojciec i matka rodziny, ludzie niegdyś zamożni i inteligentni, ustawicznymi brakami zdeprawowani, opuszczają ręce, rzucają wszelką pracę, za to nielitościwie wyzyskują młode siły dzieci. Dzieci uczą się i pracują na dom z wysiłkiem nadludzkim i jeszcze mimoto, dzięki niegospodarności matki, wszystkiemu zaradzić nie mogą. Ale i to nie wszystko. W domu wrą ustawiczne kłótnie i bitki między matką a ojcem. Matka ojca poniewiera, ojciec matkę. Na tle tych, deprawujących młode umysły, niesnasek rodzinnych, przeżyły dzieci całą młodość, na ich tle pracują, żywiąc dla rodziców obok resztek tkliwości i — wzgardę. Wreszcie powstaje w ich sercu bunt. Prócz najstarszej córki Maryni, która w ustawicznej pracy zatraciła wszelką energję, reszta opuszcza dom, aby odetchnąć świeżem powietrzem wolności. Szeroki świat wraca im, co utracili — wiarę w ludzi i jakie takie zadowolenie. Syn staje się bojownikiem haseł socjalistycznych; — nędza, która go wykołysała, daje mu zrozumienie nędzy mas. Duch wolności i odrodzenia powiewa nad ostatniemi stronicami dramatu.

Dramat napisany dobrą formą i scenicznie.

m.

Antoni Miller: Trzy cmentarze, poemat fantastyczny, 1905. Warszawa, Jan Fischer. Lwów, Księgarnia Narodowa.

Poezje prozą... allegorie i symbole! Na wstępie bardzo ładny „Hymn do Jutrzni“, szkoda tylko że wiele innych w tym stylu utworów przypominający. Siły jednak i dobrej formy odmówić nie można. „Hymn do Jutrzni“ to przygrywka liryczna do eposu, raczej tragedji, którą roztacza autor w następnych rozdziałach.

Poeta odbywa dantejską wędrówkę po „miejscu zmarłych“. Przewodnikiem jego jest „Lirnik duchów cmentarnych“, co „śpiewa prawdy tym, którzy jej nie słyszeli za życia“ — bo teraźniejsze życie uprawnia wszelkie kłamstwo. Cudotwórcza moc zaklęcia i nadzmysłowa potęga Lirnika daje głos zmarłym, którzy otwierają przed poetą tajemnice swych trosk, nędz i bolów. Ciekawą rzeczą jest to, że w utworze tym tętni dziwnym zbiegiem okoliczności nuta silnie romantyczna, przypominająca w nastroju, jaki budzi, czasy najlepszego jego rozkwitu. Płyną ku nam dźwięki Norwidowe, Zmorskiego, Barwińskiego. Skąd to pochodzi? Być może stąd, że poeta położył ogromny nacisk na sztafaż zewnętrzny. Godzina duchów, lirnik, cmentarz wśród nocy, jęki mogił, skargi zmarłych — wszystkie te okropności, toż przecie najulubieńsze tematy późnego romantyzmu. Postać Lirnika ma i w sobie coś z postaci Guślarza, więcej może z Szamana; ci zmarli przemawiający na rozkaz Lirnika coś z duchów pojawiających się w „Dziadach“ — a dekoracja dopełnia złudzenia. Parę zwrotów, porównań nie ogólnikowych ale czysto polskich, z nazwami polskiemi, uderza w ucho dziwną, daleką nutą romantyzmu.

Książka robi bardzo miłe wrażenie tem właśnie, że jakaś inna, że coś dalekiego a drogiego przypomina...

Tu możnaby nadmienić coś o bliskiej granicy romantyzmu a modernizmu w literaturze. Ponoś kopce ich przytykają do siebie. Ale o tem później...

m.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.